



pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

Prenumerata wynosi:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerczy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

Kłopoty młodego lekarza.



ie po różach stąpają młodzi lekarze w pierwszych chwilach mozolnego swego zawodu — oh, nie! Stanisław Horliwy mógłby nam opowiedzieć o tem nie jedno... Ha, on by książkę nawet mógł napisać, tyle miał wolnego czasu od rana do nocy. Bo i jakże: przybył do tej mieściny jednocześnie z młodym adwokatem Załogą, a jednak jak inaczej każdemu z nich teraz się powodzi!

Doktor Załoga skarży się poprostu na brak czasu, tyle ma spraw przerozmaitych do prowadzenia. A przecież jest w tem mieście inny jeszcze adwokat, bardzo biegły i bardzo wielkiem cieszący się zaufaniem! Tymczasem u Horliwego nikt, ale to nikt zgoła nie chce się leczyć, chociaż jedyny doktor, którego tu zastał — to głuchy, nawpół ślepy staruszek. Co on tam może dziś już

pamiętać, — co umieć! Horliwemu natomiast aż głowa pęka od nagromadzonych w niej zapasów wiedzy i nauki. W futerałach zaś i pudełkach młodego doktora połyskują rozmaitego rodzaju nożyki, nożyczki, lancety i piłki, takie nowiuteńkie, takie błyszczące, że aż spojrzeć miło. A jednak — o dziwo! — żaden z mieszkańców miasta nie okazał dotąd chęci najmniejszej wypróbowania na sobie bajecznej niemal ich ostrości!...

Młody doktor, szczerze miłujący ludzi, pragnąłby z całej duszy, aby wszyscy mieszkańcy onej mieściny zapadli jednocześnie na wszelkie możliwe choroby, byle on mógł im wszystkim odrazu wrócić zdrowie! Ale cóż, kiedy pobożne to życzenie bardzo jest dalekiem od rzeczywistości: oto widzi tych mieszczańskich nieszczęśliwych, jak się snują pod jego oknami, weseli i zdrowi — widzi, jak

patrzą obojętnie, kto wie, może nawet drwiąco — na piękną, wyślaczaną tabliczkę na jego drzwiach. A jeżeli nawet zdarza się któremu z nich zapaść na zdrowiu, to i wtedy nawet mija z pogardą ponętną ową tabliczkę i leci do mieszkania starego doktora, aby w jego doświadczonych ramionach wyzionąć duszę niesformą...

Ale dość o tem! Bolesne zawody młodych doktorów opisywało już nieraz pióro, zdolniejsze od mego. Przystąpię więc lepiej od razu do wypadku, który chcę tu opowiedzieć miłym czytelnikom.

Doktor Horliwy przyglądał się pewnego dnia, ze słusznym oburzeniem, pulchnym i czerstwym mieszczanom, którzy przesuwali się pod jego oknami, drepcząc po szarym śniegu miejskim. Widział ich ciepłe futra, ogromne czapki baranie, — widział watę w ich uszach i mówił sobie w duchu z prawdziwą troskliwością: »Obyście się jeno nie zaziębili, najmilsi!« Im dłużej zaś wpatrywał się w te okrągłe, zaczerwienione od mrozu twarze, tem chmurniej ścigały się czarne jego brwi, tem frasobliwiej puszczał na ulicę gęste kłęby dymu z długiego cybucha.

Nagle wypuścił z ust fajkę, przyglądził pospiesznie włosy i utkwiał oczy, niespokojnym oczekiwaniem płonące, w wiejskie sanie, które sunęły środkiem ulicy z hałaśliwym dźwiękiem drobnych dzwoneczków. Na koźle siedział barczysty parobczak w zatłuszczonym kożuchu i wytartej czapce baraniej. Futrzane buty, leżące na siedzeniu i aż dwa fartuchy obiecywały wiele wygody przyszłemu podróżnemu.

Dr. Horliwy miał już znowu uchwycić na pół zgasłą fajkę i starać się pocieszyć kłębami dymu po utraconej nadziei, gdy raptem sanki zatrzymały się prawie pod samem oknem, a woźnica zapytał głośno siedzącej w bramie przekupki:

— Czy tu mieszka nowy doktor?

Horliwy o mało nie krzyknął odpowiedzi sam przez okno, ale przypomniał sobie na szczęście w porę, że toby nie licoowało wcale z doktorską jego powagą. Przekupka odpowiedziała tymczasem:

— Nowy doktor? A tak tutaj, na pierwszym piętrze.

W mgnieniu oka fajka Horliwego znalazła się w jednym kącie, a pantofle w drugim.

Doktor obciągnął kamizelkę, zapiął surdut na pierwszy guzik, przyglądził bujne włosy i piękne wąsiki. (Powiedzmy przy tej sposobności, że był prawdziwie pięknym młodzieńcem). Poczem stanął naprzeciw drzwi,

jak to sobie oddawna obmyślił w wolnych chwilach, których miał, niestety, mnóstwo: jedną ręką oparł się niedbale o stół, na którym połyskiwały ponętnie lancety, nożyki i piłki, a drugą podniósł do piersi w ten sposób, że blask drogiego kamienia w złotym pierścionku musiał uderzyć natychmiast wzrok tego, co wchodził; z pod wypukłego nieco czoła czarne błyszczące oczy spoglądały poważnie i uprzejmie na drzwi, w których miał się ukazać — pierwszy gość.

Gdyby nawet sama śmierć weszła w tej chwili do pokoju, to z pewnością zaczęłaby dzwonić zębami z przerażenia, widząc tak wymowne uosobienie doktorskiej mądrości i wszechmocy.

Ciężkie stąpanie dało się słyszeć na schodach, zapukano do drzwi i woźnica wszedł do pokoju, mruczając niewyraźne słowa jakiegoś powitania.

Ogromny, niby góra, miał on twarz podobna, jak dwie krople wody, do księżycy, a mianowicie do czerwonego księżycy, wschodzącego z poza tej góry. W całej jego postaci przebijała zadowolona z siebie ograniczoność z lekkim odcieniem przebiegłości.

— Czem mogę służyć? — spytał grzecznie Horliwy.

— E dyc przyjechałem po pana doktora.

— Skąd?

— Z Beszyna.

— Kto cię przysłał?

— A juźci pan.

Usłyszawszy tę ważną wiadomość, doktor przestał na chwilę pytać, starając się przypomnieć, co wiedział o właścicielu Beszyna. Bardzo niewiele; tyle jeno, że się nazywał Trociński. Wspomniano o nim, co prawda, w obecności doktora parę razy, ale nie pamiętał już w jaki sposób, zostało mu tylko z zasłyszanych rozmów ogólne wrażenie, że beszyński pan jest wielkim dziwakiem.

— To znaczy pan Trociński? — ciągnął dalej pytanie.

— A tak, pan. Odprzęgałem właśnie konie od wózka, a tu przybiega panienska z zapłakanymi oczami i kazuje: »Wojtek, zaprzęgać wnet do nowych sanek i jedź wartko do miasta po pana doktora, ale po tego nowego — wiesz?« Kiwnąłem głową, a w duchu pomyślałem: djabli nadałi taką służbę: z wózka na sanki, z sań na wózek!

— A cóż panu jest?

Woźnica zamiast odpowiedzi, wytrzeszczył oczy na mówiącego, jak gdyby nie rozumiał pytania.

— Co się panu stało?

Wojtek tarł sobie czoło przez chwilę, a następnie machnął ręką.

— Cosik mu brakuje, abo też ma coś-niecoś za wiele o, tutaj! — Przy tych słowach dotknął palcem niskiego czoła, ukazując białe zęby w przebiegłym uśmiechu.

— Jak to? — zawołał zdumiony doktor. — Alboż stracił rozum?

— Stracił, panie doktorze, do imentu stracił. Dyć prawdziwy z nim dopust boży — i tyle. Nie dalej, jak dziś, połamiał nowiu-tenki bat na mojej głowie...

— A więc miewa nawet napady sza-leństwa?

— Ho, ho! — i jakie jeszcze! Wczoraj i dzisiaj to tako się rzucał, tak strasznie wymyślał, że włosy powstawały na głowie. Biedna nasza panienka cierpiała, jako i ta męczennica. Trzaskał ci drzwiami, aże okna drżały, potem zaś wypadał na pole, szumiał, groził zaciśniętymi pięściami i kłął strasznie, a poniekiedy stawał, tarł czoło palcami i taką stroił gębę, że trza było pękać ze śmiechu...

Doktor nie mógł ukryć dłużej oburzenia na widok tak wielkiej obojętności woźnicy dla cierpień pana.

— Nie widzę w tem nic śmiesznego! — zauważył, patrząc ostro w oczy śmiejącego się sługi. — Powinienbyś raczej żałować nieszczęśliwego swego pana. Rozumiesz? Idź, popraw siedzenie; zaraz pojedziemy.

Wyrzuty doktora wprawiły Wojtkę w silne zdumienie: otworzył usta, wytrzeszczył oczy, pokiwał kilkakrotnie głową i wzruszył ramionami. Ode drzwi obejrzał się raz jeszcze na doktora i machnął ręką.

Dr. Horliwy, pozostawszy sam, namyślał się przez chwilę, poczem otworzył szafę i wyjął z niej kaftan, który służył do krępowania warjatów. Miał, jak widzimy, wszelkie możliwe zapasy.

Wkrótce potem sanki leciały już za miastem po gładkiej białej drodze. Woźnica od czasu do czasu oglądał się na doktora i za każdym razem kiwał znacząco głową, a Horliwy, pogrążył się tymczasem w głęboką zadumę. — Więc pierwszy jego pacjent był warjatem? — Nie cieszyło go to wcale: choroby umysłowe wymagają bardziej jeszcze, niż wszelkie inne, doświadczenia, którego on, niestety, nie mógł jeszcze nabyć, nie z własnej winy, ma się rozumieć! Pragnąłby mieć jakie szczegóły o zwyczajach i życiu beszyńskiego pana, czuł jednak nieprzewyciężony wstręt do rozpytywania woźnicy o zimnem, nieczułem sercu. »Najlepiej objaśnić mi

będzie mogła w tym względzie córka», pomyślał nakoniec i wnet w wyobraźni jego zaczęły się rysować dziwaczne obrazy. Na tle ogołoconych z liści drzew i zapadającego mroku, migwały dziwne, powykrzywiane postaci z okropnymi twarzami, ze złowrogo błyskającymi oczyma... Odgłos dzwonek rozlegał się w zgęszczonym powietrzu, jak ochrypli, warjacki śmiech... Widziadła te stopniowo rozplływały się, znikwały, zmieniały kształty, aż się przeistoczyły w śliczną postać młodego dziewczęcia ze smutnie spuszczoną główką, z perłową łezką na pobladłych jagodach. Otulona w powiewną żalobną szatę, odbijała wyraźnie i uroczo od białego śniegu. — Przebaczenie, drodzy czytelnicy, doktorowi jego marzenia — wszak był młody i jechał do pierwszego pacjenta! — Gdy dojeżdżali już do dworu, Horliwy otrząsnął się z marzeń i pochylając w stronę Wojtkę, zapytał:

— Czy wiesz pan bardzo mocny?

Woźnica spojrział na pytającego z ponownym zdziwieniem, lecz po chwili namysłu odrzekł krótko:

— E dyć nie bardzo. Poradziłbym go wnetki przewyrtnąć.

— Widzisz, mój kochany, dla uspokojenia go, będę musiał zapewne użyć siły. Bądź-że więc za drzwiami, gdy wejdem do niego i na pierwsze wezwanie przyjdź mi z pomocą...

Oczy Wojtkę o mało nie wyskoczyły z głowy, tak bardzo je wytrzeszczył.

— Jakoż to! Więc pan doktor chciałiby? — wyszeptał zakłopotany. — Eh, nie, to chyba śpas...

— Nie żartuję nigdy w rzeczach tak ważnych. Powtarzam ci: nie odchodź ode drzwi i bądź gotów. A wreszcie pomówię o tem pierwszej z panienką.

Uplęnęła spora chwila czasu, nim woźnica przyszedł do siebie z przerażenia i uporządkował nieco płaczące się myśli w głowie. Podrapał się w czuprynę, odchrząknął, obejrzał się na doktora i znowu pokiwał głową. Nakoniec przypomniał sobie połamany niedawno bat na najsłabszej części potężnej swej figury i postanowił, bądź co bądź, spełnić rozkaz doktora. Powziąwszy takie postanowienie, zaciął szkapy z wielką fantazją.

Świętopętek Czech.

(Dokończenie nastąpi).





Bohaterstwo dzieci.

Wiemy wszyscy, co się dzieje w ziemiach polskich, przez Prusaków zabranych. Światły lud, przywiązany do mowy i obyczajów ojczystych, walczy tam z rządem niemieckim, który usiłuje wydrzeć mu ziemię, język, myśli polskie i przerobić na Niemców. Znamy tę walkę wytrwałą i mężną, która się toczy na starej ziemi Piastów. A teraz oto, ku pomocy ojcom, występują do tej walki — dzieci!

W szkołach polskich pod Prusakiem uczą oddawna wszystkich przedmiotów po niemiecku. Straszna to męka, okrutne ogłupianie dzieci wiejskich, które nie rozumieją tego języka, a muszą uczyć się w nim lekcji. Dotąd jednak nauka religji przynajmniej odbywała się po polsku. Ale Niemcom i tego było żal — i to piekło ich marne dusze. Więc powiedzieli sobie: I religji trzeba od-tąd nauczać po niemiecku. Niech dzieci polskie nie słyszą ani jednego polskiego słowa w szkole polskiej!

Jak pomyśleli, tak zrobili. Ale ostatni ten gwałt wywołał oburzenie ogromne nie tylko wśród rodziców, lecz i wśród dzieci. We wszystkich szkołach poczęto huczeć, niby w ulach. Najodważniej jednak, z wytrwałością niezłomną, stanęły w obronie swych praw dzieci w mieście Wrześni, położonem niedaleko od Poznania, na wschód.

Oto co piszą o tem gazety poznańskie:

»Już w miesiącu lutym wprowadzono w szkole we Wrześni niemiecką naukę religji. Wykładano ją po niemiecku, ale od dzieci nie żądano żadnych odpowiedzi i nie zadawano nic do domu. Po trzech tygodniach rozpoczęto z pytaniami i zadaniami domowemi, a gdy dzieci nie odpowiadały, ani się też nie uczyły, zapytano władzy, co robić? Władza poleciła trzymać się tego samego sposobu przez dalsze trzy tygodnie.

»Gdy jednak i ten drugi termin upłynął, a dzieci znowu nie odpowiadały, nadszedł rozkaz użycia chłosty i aresztów szkolnych. Nauczyciele stosowali dwojakie kary,

skazując dzieci już to na areszt szkolny i chłostę, już to stosując oba rodzaje kary równocześnie.

»Kary te powtarzały się bez przerwy przez kilka tygodni, ale dzieci, z wytrwałością niezwykłą w tym wieku, ponosiły je i nie dawały się od postanowienia odwieść niczem.

»Bardzo częste i dotkliwe kary spadały na 14-letnią córkę mistrza piekarskiego, p. Smidowicza — Bronisławę, która wzbraśniała się przyjąć katechizmu niemieckiego i podobno wzięła go raz do ręki przez fartuszek, a nauczycielowi oświadczyła, że religji po niemiecku nigdy uczyć się nie będzie. Chociaż Bronisł. Smidowiczówna należała do najlepszych uczenic i jest już niemal dorosłą, otrzymywała chłostę od nauczyciela i areszty. Mimo to w postanowieniu swem trwała — znosząc bolesną i upokorzącą karę.

»Ojciec dziewczęcia, widząc, jak dziecko cierpi, udał się z listownem zażaleniem na nauczyciela, zaznaczając, że dziecko zbyt często karzą i zatrzymują w areszcie szkolnym, na co od inspektora odebrał odpowiedź, że skarga jego jest niesłuszną. Pan Smidowicz udał się następnie z zażaleniem do landrata, czyli starosty, później do rejencji czyli namiestnictwa, a w końcu napisał podanie do cesarza. A trzeba wiedzieć, że dorosły syn p. Smidowicza walczy w Chinach za cesarza w szeregach niemieckich...

W dniu, w którym przyszło do scen najsmutniejszych, rzecz miała się następująco: Nauczyciel Schölzchen zadał dzieciom kilka zwrotek kościelnej pieśni niemieckiej. Nauka religji przypadała wówczas na godzinę 9 - 10 przed południem. Gdy żadne z dzieci polskich tekstu nie nauczyły się, nauczyciel skazał je na godzinę aresztu, w którym to czasie miały się tekstu nauczyć. Gdy po godzinie żadne z dzieci nie odpowiadało, zatrzymano wszystkie w klasie, poczem przybył wezwany umyślnie pan

inspektor i nauczyciel p. Koralewski. Dzieci panom tym oświadczyły, że po niemiecku religji uczyć się nie będą. Wówczas to wprowadzono jedno po drugim do innej klasy i pojedynczo za opór ten wymierzać zaczęto surowszą, niż dotychczas, chłostę.

»Bito okrutnie, a jedną dziewczynkę, Tomaszewską, o budowie ciała wątłej, wyniesiono zemdłą. Dzieci powiadają, że razy podwajano, ale żadne z nich mimo to w postanowieniu swoim ani chwili się nie wa-
hało«.

Tak piszą gazety wielkopolskie.—Groza tamuje oddech w piersi na myśl, że takiego barbarzyństwa dopuszczają się nad dziećmi Prusacy, co chcą uchodzić za ludzi cywilizowanych. Ale wytrwałość, ale bohaterstwo dzieci naszych w walce z tem barbarzyństwem przyćmiewa oko łzą dumnego rozrzewnienia...

Nie w śmierć, lecz w życie idzie naród, którego dzieci tak czują i myślą!



Nie posądzaj bliźniego.

Czytam zawdy każdą literkę w „Zorzy“, więc przeczytałem także opowiadanie o sierocie w czerwcowym numerze i prośbę Redakcji, aby Czytelnicy napisali do gazetki jaką piękną bajkę ludową. Otóż ja wolę raczej opowiedzieć prawdę o sierocie Rózi. Opowiadanie moje skończy się smutnie, nie tak, jako w bajce, ale może pouczy, aby nie krzywdzić sieroty, bo to bardzo źle i bardzo wielka krzywda.

W znanym mi młynie, pod Bieroniem, służyła tam biedna Rózia. Była to bardzo poczciwa dziewczyna, zdrowa, jak ryba, pracowita, jak mrówka, lecz ubożuchna, jak mysz kościelna. Łatwo to pojmiecie, gdy powiem, że była od malutkości wychowana na pasterkę, później na dziewczkę do każdej roboty w gospodarstwie.

Rózia — jak ją wołano w młynie, albo: piękna Rózia, jak cała okolica ją zwała, była wesołego usposobienia, a zwinna jak sarna, przeto kochali ją wszędzie. Lubiła ją i młynarka, ale była to osoba dość popędliwa. Kiedy stanąwszy na podwórzu, z podpartemi bokami, doniosłym głosem wydawała rozkazy, to starzy wo-
jacy szeptali sobie: „Szkoda, że jej nie

wzięli do wojska: komenda jej wyborna! Zawstydziliby nie jednego pułkownika!“

A kiedy czasami podniosła głos, jak grzmot, to nawet kurek nad kominem się obracał dokoła, pies się chował do swej budy, kury uciekały za płot, a kaczki i gęsi zrywały się do lotu.

— Hej, u młynarza burza! — mówili sąsiedzi, — ciekawiśmy, czy się skończy na grzmocie?

Było to rano pewnej niedzieli, kiedy się zdawało, że wichur przewróci cały młyn do góry nogami, bo młynarka tak krzyzczała i hałasowała, aże sąsiedzi z domów powychodzili!

Ale też miała o co krzyzczeć, bo jej zaginęło siedm nitek korali ze złotą spinką, które młynarz był kupił za sto marek. A koralami temi chciała się młynarka poparadować w niedzielę do kościoła!

Oj, rewidowano cały dom, nawet wójta sprowadzono do szukania, przejrzano każdą szczelinę, lecz nic nie znaleziono! Więc zwołano potem mądrych karciarzy i karcarki, wróżców i wróżki, pytano się nawet starego klucza z czwartego pokolenia, który przywiązano do przetaka! Oj, dziwy

nad dziwami, nie pomogło nic do odkrycia korali!

Młynarka, znużona kilkudniowem szukananiem, całą winę złożyła na biedną Rózię!

— Rózia jest ubogą, mówiła młynarka — Franciszek Stuchlik żąda jej za żonę, lecz także goły, jak święty turecki, więc dziewczyna wzięła moje korale, aby się wspomódz.

Rozumie się, że cała wieś zajmowała się młynarką, Rózią i koralami.

Rózia płakała i narzekała, że nawet twardy kamień byłby się jej użalił, lecz to nic nie pomogło; młynarka Rózię wypędziła ze służby.

Tymczasem plotki się rozeszły po wsi lotem błyskawicy. Franciszek, narzeczony Rózi, bokiem, z ukosa spoglądał na nią i mówił sobie! — „Co mie po takiej żonie?“ Rózi nietrudno było o służbę, bo dostała zaraz jeszcze lepszą w innem miejscu.

Uboga Róziu, jeszcze gorsze czekają cię nawiedzenia!

Ludzie tak rozprawiają o biednej sierocie, aż owe plotki doszły uszu gospodyni, u której służyła. Podejrzenie na Rózię rosło z dnia na dzień. Owej gospodyni zaginęło coś lnu wnet złożyła winę na Rózię, że to ona len kradnie i wypędziła ze służby.

Rózia słabła i więdła od tygodnia do tygodnia. Do boleści ciała, przyłączyły się i cierpienia serca!

Oj, nieszczęsne korale, do czego doprowadziły biedną sierotę, że nawet pod dach jej przyjąć nikt nie chce!

Rózia wynędzniała leży na śmiertelnej pościeli. Przed dwoma laty była taka piękna i zdrowa — dziś do niepoznania. O nieszczęsne korale!

Wtem niespodzianie wpada do chaty owa młynarka z głośnym płaczem i łkaniem, a stanąwszy przed chorą, woła:

— Pocziwa Róziu, proszę cię na rany boskie, odpuść mi! Moja wina! Okropna wina, która wszystkiego nieszczęścia twego stała się przyczyną, bo korale nie były skradzione, tylko się zesunęły za żelazną skrzynię, do której pieniądze chowamy. Po upływie dwóch lat ruszyliśmy ową skrzynię i znalazły się korale! Skrzywdziłam cię bezbożnie, bom ukradła twoje dobre imię, twój chleb, twój honor i może twoje życie.

Młynarka płakała, a potem rzekła, obracając się do doktora, którego ze sobą przywiozła:

— Panie lekarzu, proszę cię na rany Chrystusa Pana, ratuj mi tę Rózię! Nie żałuj najdroższych lekarstw, bo ja ci so-wicie wynagrodzę!

Wkrótce potem przychodzi i druga gospodyni i prosi:

— Droga Róziu, daruj! I ja ciebie niewinnie posądziłam, bo teraz właśnie odkryłam złodzieja. Panie konsyljarzu, pomagaj do zdrowia, a my postaramy się o to, ażeby biedna sierota usprawiedliwiona była przed całym światem.

Wszystko zapóźno! — Po czterech tygodniach skończyły się cierpienia ubogiej dziewczyny: Umarła na suchoty.

Gdy jej narzeczony, Franciszek, dowiedział się o jej śmierci i o wszystkim, objął trumnę zmarłej i wołał:

— Róziu, Róziu moja najmilsza, daruj, przebacz!

Tak często jej grób odwiedzał, a te słowa powtarzał.

*Jan Handzlik z Wilamowic,
czytelnik „Zorzy“.*





Z ziemi śląskiej.



Pociąg dalej poleciał z łoskotem i szumem, — poleciał w kierunku Zwardonia, ku granicy węgierskiej. A my, cośmy się wybrały z Warszawy i Lwowa na ziemię śląską, pozostałyśmy gromadką niewielką na stacji kolei żelaznej w Milówce

Pilno nam, strasznie pilno stanąć u celu podróży, w Izdebnem¹⁾, wiosce śląskiej, położonej wśród gór pięknych, u źródła rzeki Olzy. Więc siadamy w wózek góralski i — jazda!

Droga idzie do grapy, wciąż wyżej i wyżej, z każdą więc chwilą więcej świata widzieć można. A jaki to świat piękny, jaki cudny!

Soła, wartka, spieniona rzeka, ostala precz za nami, ale na prawo od drogi, dnem głębokiej doliny pędzi wezbrany potok górski. Zowie się Szary, lecz wody ma jasne, perliste i świeci w słońcu, jako srebro przedziwne.

Nad potokiem, po jednej i drugiej stronie, rozłożyła się wieś galicyjska, zwana od wody też Szarem.

Wieś, jak zwyczajnie w górach, ciągnie się daleko, — domy stoją po kilka w kupie. Ładnie wyglądają te chatki, gontem kryte, o wysokich, ozdobnych szczytach, a krasy dodają im jeszcze ogromne drzewa: lipy, jawory, dęby, jesiony, co nad każdym dachem rozpościerają zielone konary i chronią je od wichrów, z czoła gór zlatujących.

A góry piętrzą się tu ze wszystkich stron, jak oko sięgnie, bez końca! Jedne

z nich należą do Galicji, inne do Beskidów śląskich, jeszcze inne za węgierską wznoszą się granicą. Trudno oczy oderwać od tego świata dziwnych barw i kształtów. Przyglądamy się wyniosłym czuplom, czyli szczytom, pozieramy na lasy ciemne, na szachownicę jasnych pól, niżej położonych, słuchamy, co opowiada o tych górach, lasach, polach nasz woźnica, szczerzy i rozmowny góral z Milówki, — a tymczasem kwadrans za kwadransem mija niepostrzeżenie i oto już słońko mruga okiem gąsnącym na zachodzie, a wózek nasz staje u stóp góry Ochodzitej.

Przez tę górę idzie linja graniczna, dzieląca Galicję od Śląska. A poniżej, na prawo od drogi, stoją trzy niskie krzyże o wązkich ramionach, w tej chwili krwawem światłem zachodzącego słońca oblane.

Dziwne to jakieś słupy graniczne, naprawdę! Albo i nie! Albo i nie! — Jestże, owszem, co właściwszego od krzyża, znaku męki, do oznaczania dzisiejszych granic ziemi polskiej, którą orze bezprawie, krzywda, gwałt, a zawleka żalność i ból?..

Noc już była, gdyśmy dotarli do Izdebnego. Wieś tonęła w milczeniu i ciemnościach. Zrzadka jeno, tam i ówdzie błyskało w oknach światełko. Komu, jakiej pracy przyświecają tam wewnątrz smolne łuczywa, lub drobne lampki naftowe? — Co czują, jak myślą mieszkańcy onych chat cichych?..

Wózek nasz zatrzymuje się nareszcie przed domem Małegojurka, u którego mamy mieszkać przez dwa letnie miesiące. Gązdowie witają nas serdecznie, młodzi sąsiedzie pomagają ochoczo wnosić do izby nasze truhliczki podróżne. A wszyscy radzi są gościom „z Polski“, dziwią się na nas ciekawie i z życzliwością, —

¹⁾ Niemcy przechrzcili, swoim zwyczajem, nazwę Izdebnę na Istebna, ale ktoby tam zwracał na nich uwagę! Będziemy mówili: Izdebnę, jak mówimy: izdebnka, nie zaś istebnka, bo takiego wyrazu niema na całym świecie.

wypytyją, co u nas słyhać, rozpowiadają o sobie i swojej dziedzinie.

Miło nam odrazu wśród rozmownych Izdebniaków. Podobają się nam ich postaci smukłe a silne, ich twarze piękne i ożywione, ich mowa dźwięczna, szumna. Podobają się nam też i świetlica chaty góralskiej, wysoka, obszerna, o trzech oknach. Gaździnka przyozdobiła ją, jak jeno mogła,

tam mówią — wspaniałych kwiatów górskich.

W tej dużej izbie mieszkać będą moje towarzyszkę podróży. Dla mnie gaździnka przystroiła izbeczkę na werchu, w której mieszkają zazwyczaj w chatach śląskich w y m o w n i c y, to znaczy starzy ojcowie, co oddadzą już gospodarstwo dzieciom, a sami siedzą u nich na w y m o w i e,



Jezioro w Tatrach, zwane Morskiem okiem.

na nasze przybycie. Usłala starannie łóżka z pierzynami i zagłówkami, zapaliła wiszącą lampę, okryła stół ślicznym obrusem własnej roboty, — na stole postawiła ogromne pęki, czyli w o n i ą c z k i — jak

czyli na dożywociu, jak w innych stronach powiadają.

Gaździnka wiedzie mię właśnie z zapaloną świecą do onej izbeczki.

Ach, jakże tu śliczne! — Ściany, obite

gładko heblowanemi deskami, mają połysk i barwę bladego złota. U góry, przez całą szerokość pułapu, biegną dwa ścięte bale, mające w środku i po obu końcach rżnięte w drzewie ozdoby, w kształcie gwiazd i kółek. Takież gwiazdy i kółka zdobią o-drzwia, a nawet próg wysoki. Przez uchylone okno widać góry, smerekowym lasem okryte. Świeci nad nimi księżyc, płynie od nich powietrze takie dobre, takie zdrowe, jak ona woda z zaczarowanego źródła w bajce, co to rany goi i wraca życie...

Ale z rzeźwiącym powiewem gór miesza się woń jakowaś inna. — To kwiaty

deptały regularne zastępy Szwedów, Niemców, Turków, Moskali, — ta ziemia śląska tyle krzywd i bólów zaznała, że cudne jej kwiaty mogą po dziś dzień łzami płakać...

II.

Każdy spotkany Izdebniainin lub Izdebnianka rozpoczyna z nami zawsze rozmowę pytaniem:

— Jako się im tu podoba?

A my wołamy, co sił starczy:

— Pieknie! Tak nam się podoba, że to aż hej!

I prawdę mówimy.



Izdebniainie.

tak pachną na stole, — storczyki białe i czerwone gladiolusy, lebo mieczyki, lebo zwonki, jak powiadają na Izdebnem. Te zwonki wyrastają na łąkach najwyżej i chwieją się na wiotkich lodygach, niby chorągwie — i barwę mają zupełnie taką, jak dawne chorągwie polskie.

Z głębokich kielichów kwiatnych padają krople rosy...

A może to krople łez?.. Ta ziemia śląska, którą najeżdżały hordy mongolskie, którą

Podobają nam się tutaj góry, lasy, wody, łąki, ale najbardziej podobają nam się ludzie!

Tyle mamy tu dobrych znajomych, że niewiadomo od kogo zacząć opowiadanie. A no, chyba od Jana Juroszka, zastępcy wójta i prezesa Kółka rolniczego, bo szczęśliwym trafem mogę pokazać go Wam, drodzy czytelnicy, na obrazku, więc od razu na własne oczy zobaczycie, jak wyglądają górale śląscy i jakie noszą stroje.

Z lewej strony obrazka, pod ścianą ze strasznie grubych belek smerekowych, stoi wójt izdebniański, Paweł Juroszek, sąsiadka obok niego ma takie miano, jako i pierwsza niewiasta w raju: nazywa się Ewa. Trzecią osobą na obrazku, koło ogrodzenia, wedle chlewiczka, jest właśnie Jano Juroszek, prezes Kółka rolniczego, z małym swoim synkiem, też Jankiem.

Jan Juroszek od razu nas wziął przywiązaniem swoim do wszystkiego, co polskie. „W mojem sercu narodowość bije i bić będzie do śmierci“ — mówi dzielny góral śląski i czynami stwierdza zacne słowa. W wiosce swojej stara się krzewić oświatę, wypożyczając książki z zasobnej biblioteki Kółka rolniczego, a z Niemcami i renegatami stacza walki zacięte podczas wszelakich wyborów.

Juroszek rad czyta książki i gazety, więc wie, co w świecie słyhać, co się w innych dzielnicach Polski dzieje i dorzuca, jak może, swoje ziarno do spraw ogólnych. Oto na przykład Kraków święci uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza; światli Izdebnianie spieszą całą gromadką na tę uroczystość narodową, a między nimi nie brak, ma się rozumieć, i Juroszka. Zdaleka słyhać jego szczery, częsty śmiech, żywą mowę, — zdaleka widać śmiałe, zamaszyste ruchy. — Potem Warszawa obchodzi jubileusz Sienkiewicza. Juroszek radby pojechał, ale to daleko, strasznie daleko — i kto wie, jako han Moskale gadują, może jeszcze do herezitu posadzą?.. Więc ostaje doma, a do Sienkiewicza pisze — wraz z sąsiadami — list, w którym składa mu życzenia i rozpowiada, jako to ludzie na Śląsku radzi czytają jego książki.

Sam Juroszek przeczytał nie raz, ale kilka razy wielkie powieści Sienkiewicza. Podobały mu się niesłychanie. A po przybyciu z pobożną pielgrzymką do Częstochowy, wnet prosił OO. Paulinów, aby mu ukazali bramę, przez którą wymknął się Szwedom rycerz Kmicic, opisany przez Sienkiewicza.

Piękną zaletą Jana Juroszka jest też silnie rozwinięte poczucie godności osobistej, poczucie honoru chłopskiego. Przed nikim nie pochyła głowy z pochlebstwem, nikomu, — czy to będzie ksiądz, nauczyciel, lub pan z miasta — nie pozwoli ani słoweczkiem ubliżyć rolnikom. On wie, że oracz i siewca ziemi żywicieli nie gorszy od innych, — a w siły ludu, w jego przy-

szłość, ma taką wiarę, jak i ów gospodarz, o którym wielki poeta czeski mówi:

Wzrok daleko puścił bacia,
Czoło zmarszczył gniewnie:
— Niech się sobie świat przewraca,
Ja tu stoję pewnie.
Chowam ziemię dla mych dzieci,
I dochować muszę,
Wózniak z państwem na łeb leci,
A ja się nie ruszę.
Padnie piorun z burzy mroku,
Od Rzymu, czy Krymu,
Nie podniosę nawet wzroku,
Nie wydmuchnę dymu!..

M. Wystouchowa.



ROZMAITOSCI

Świętopelk Czech, którego powiastkę znajdziecie, szanowni Czytelnicy, w dzisiejszej „Zorzy“ — to pisarz najgoręcej wielbiony u bratnich nam Czechów. Książki jego rozechodzą się w wielu i wielu tysiącach egzemplarzy, czytane z zapamiętaniem w miastach i światłych wioskach czeskich. Świętopelk Czech posiada najwyższe zalety pisarza narodowego: wielki talent i gorącą miłość swego kraju, swojej ojczyzny! Pisze on krótkie powiastki i wspaniałe powieści, dźwięczne piosenki i poematy, czyli długie opowiadania wierszem. Wybitną właściwością utworów Czecha jest szczery humor, który potrafi wywołać uśmiech na usta najsmutniejszego nawet czytelnika. Humorem takim technie także i powiastka, przetłumaczona do „Zorzy“.

Cześć jego pamięci! Pamiętacie zapewne, drodzy Czytelnicy, pieśń, podaną w listopadowym numerze „Zorzy“ — pieśń o bohaterskim pułku czwartym, co szalał, jak burza, na polach bitew, waleczny, straszny, niezwykły. Owóż przed kilkoma tygodniami w Kurniku, w Ks. Poznańskim zmarł w 90 roku życia jeden z ostatnich żołnierzy tego pułku, jeden z ostatnich czwartaków, jak ich zwano. Na imię było mu Teodor Chmielewski. Mając lat 20, podążył na pierwsze hasło bojowe do Warszawy i wstąpił do onego pułku nad pułkami. Z zawodu ś. p. Teodor Chmielewski był szwecem. Cześć jego pamięci!

Włoszianka Szymańska ze wsi Grabia w Wielkopolsce, bardzo światła gosposia, zasiadała w przyzłym wiecu, który się odbył w Rzegocinie nad rzeką Prosną. Wiec miał na celu obronę przeciwko gwałtom i bezprawiom Prusaków. Wzięło w nim udział przeszło 400 osób. Najpiękniej przemawiał parobek dworski, Maciejowski. Mówił on o gnębieniu ludu polskiego przez Niemców, wzywał do łączenia się w celach obrony, błagał rodziców, aby wychowywali dzieci na dobrych Polaków i zakończył wzniosłymi słowy:

Polskiej mowy, ojców wiary,
Broń Polaku, młody, stary!

Cześć ludowi wielkopolskiemu, co tak czuć umie! Cześć szlachetnym matkom włosziankom, co stają w obronie swej narodowości!

Głos ziemi sandomierskiej. Pod tym tytułem zaczęła wychodzić w mieście Tarnobrzegu nowa gazetka włoszianka. „Głos ziemi sandomierskiej“ — to dwutygodnik, obejmujący pół arkusza druku. Kosztuje rocznie 3 korony. Jako redaktor podpisuje tę gazetkę i żywo koło niej się krząta znany czytelnikom „Zorzy“ Wojciech Wiązek z Machowa.

Szczęście Boże nowemu piśmie i jego współpracownikom!

„**Order rycerski pracy**“. We Włoszech ustanowiono „order rycerski“ dla obywateli i robotników, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się na rzecz pracowników i pracy. A więc odznaczeni tym orderem będą robotnicy lub inni obywatele Włoch, którzy przez naukowe, dobroczynne lub gospodarcze zarządzenia, przyczynili się do dobra ogółu ludzi, żyjących z pracy.

„**Hej, Janie, Janie, Janie zielony!**“ Święty Jan przynosi jagód dzban! — powiada przysłowie — Owóz przyniósł i w tym roku, i to słodkich, wonnych, krasnych, bo w gorącym słońku dojrzałych. Ale prócz jagód, ileż to uciechy ludzie w dzień ów miewają! Jednych raduje złudna nadzieja, że o północy, w ciemnym borze, błysnie im czarodziejski kwiat paproci i wskaże skarby zakłete, nieprzebrane skarby. Inni, młodzi, tańczą i weselą się starodawnym zwyczajem wokoło zapalanych ognisk świętojańskich, czyli sobótkowych. A dziewczęta wiją drobne wianuszki, zdobią nimi drzwi i okna — jak to widziałam naprzykład w śląskiej wiosce Wiśle, lub puszczają wianki okazałe na wodę — w nadziei, że nie woda je uchwycei, jeno chłopiec miły!...

Święto wianków przechowało się na naszej ziemi dotąd w bardzo wielu jeszcze miejscowościach, lecz najwspanialej bywa obchodzone z roku na rok w Krakowie i Warszawie. Wdzięcznie i malowniczo wyglądają piękne łodzie, strojne

w kwiaty, gdy pędzą szybko, aby prześ ignąć jedna drugą, aby rzucone z brzegu wianki dogonić. „Zbierz się, synu, siadaj w krypcę: nie na pogrzeb, nie na stypę popłyniemy dzisiaj z wodą, lecz na wielkie wianków święto“ — powiada piosenka, dobrze znana w miastach. Zaś po wioskach śpiewają w ów dzień siła pieśni przeróżnych. Ale kto wie, czy nie najpiękniejszą jest ta oto, w sandomierskiej śpiewana ziemi:

Hej, Janie, Janie, Janie zielony!
Padają liście na wszystkie strony,
na wszystkie strony.

— A ty Jasiu, parobeczku,
Szukaj se żony, szukaj se żony!

— Kędyż jej będę, u Boga, szukać?
Oj pójdę ja do Szczepanów w okienko pukać,
w okienko pukać!

Puk, puk, w okieneczko.
Wyjdz, Maryś, kochaneczko,
sama jedyna!

Marysia wyszła, rączkę mu dała:
„A witajże, witaj, witaj, mój Jasiu, mój Jasiu,
Będę cię chciała!“



Poradnik.

O suszeniu roślin pożytecznych. Do Was zwracam się, Drogie dziewczęta wiejskie, z przypomnieniem, że teraz właśnie nadchodzi czas suszenia przeróżnych ziół lekarskich. Nie żałujcież więc trudu, — słodką jego nagrodą będzie możność przyniesienia ulgi w cierpieniach swoim lub obcym.

Więc najpierw należy pamiętać o kwiecie lipowym. Którykolwiek z młodszych braci wlezie chętnie na drzewo i natarga wartko wonnych kwiatuszków, a wy na przetaku lub czystej szmacie wystawcie je na słońko, aby wnet uschły i nie straciły zapachu.

Kwiat lipowy jest nader pomocny w zaziębieniach, przy katarach i kaszlach. Zaparzyć trzeba garstkę kwiecica kipiącą wodą w garnuszku i nakryć, a gdy nieco wystygnie, wypić szklankę lub dwie przed samym udaniem się na spoczynek, byle jeno nie wycho-

dzieć po wypiciu na zimne powietrze. Wywoła to obfite poty i niemoc, jak ręką, odejmie.

Mięta woniąca pomaga bardzo na cierpienia żołądkowe, na niestrawność. Należy ją zawsze siać w ogródku pod oknami, a nawet wprost koło chaty. Uprawnej ziemi nie potrzebuje. Przy suszeniu i zaparzaniu trzeba tak samo postępować, jak przy kwiecie lipowym. Jeno po wypiciu ciepłej herbaty miętowej, nie zaszkodzi zimniejsze powietrze, bo ona potów nie wywołuje.

Rumianek znowu jest nieocenionem lekarstwem na niemoc żołądkową u dzieci. Młode matki powinny o tem pamiętać! Gdy dziecko płacze z bólu, trzeba mu dać wypić trochę ciepłego rumianku, a na żołądek położyć szmatkę czystą w tym-że ciepłym rumianku umaczaną. Sprawi mu to wnet ulgę i sprowadzi sen pokrzepiający.

Z roślin, dziko rosnących, najpilniej suszcie **dziurawiec**, zwany także świętojańskim zieleń, bo teraz właśnie, koło św. Jana, kwitnie. Po wsiach nazywają go najeższej dziurawcem, że zielone jego listki, gdy się patrzy przez nie na słońce, wyglądają jakby podziurawione igłą. Dziurawiec rośnie po rowach, miedzach, pod lasem, na łąkach. Kwiatki ma żółte, jak złoto, niewielkie, ale ich mnóstwo na jednej łodydze. Suszyć trzeba same jeny kwiatki, bez liści. Zaparzone goi rany, przykłada się do miejsc silnie stłuczonych. Na łamanie i bóle w kościach pomaga spirytus, w którym mokły przez dłuższy czas te kwiatki. Robi się to tak: do flaszeczki ze spirytusem nakłada się samych świeżych kwiatków, ile wejdzie, a potem zakorkować i na słońcu postawić. Spirytus robi się aż ciemny, a potem należy nacierać tym płynem ciało.

Krwawnik też wszysej znacie. Nazywa się też **tysiąclistem**, że to każdy jego listek, jakby z tysiąca drobnych listków się składa. Rośnie bujuemi kupami wszędzie, po miedzach, łąkach, pastwiskach, w zaroślach. Wyrasta na pół metra wysokości. Kwiatki ma drobnutkie, białe lub różowe, a siedzi ich w jednym miejscu, do kupy, tak wiele, że też można powiedzieć setki, tysiące. Herbatę z suszonych kwiatów krwawnika zalecają pić tym, co silnie kaszlą, chorują na piersi, żołądek, kiszki, a także dzieciom, co są blade, osłabione, mało krwi mają. Bardzo też dobrze posiekane listki krwawnika mieszać do żywności, którą się daje kurom: do warzonych ziemniaków, kukurudzy. Bydło też chętnie je krwawnik. Jeżeli więc która z was ma na swoich gruntach kawałek piasku, na którym nie chce rósć, nawet trawa, niech-że uzbiera nasienia krwawniku i zasieje

niem ową wydymę. Chwytiliwe korzonki krwawnika nawet w piasku znajdują dla siebie soki pożywne i odrazu będzie zdrowa pasza dla krów. Krwawnik jest taki zdrowy i mocny, że dawniej używano go w północnych krajach, zamiast chmielu, do robienia piwa.

Macierzankę pachnącą, świeżą i suszoną, rozrzucacie obficie, miłe gosposie, po kątach izby, bo od jej zapachu giną plugawe pluskwy, czyli płoszczyce, jak powiadają w górach. Najlepszym, ma się rozumieć, środkiem na pluskwy, jest czystość i częste przewietrzanie izby. Świeże powietrze, niezbędnie potrzebne człowiekowi do zdrowia, zabija plugastwo, co w brudzie się lęgnie. Szczególniej młode płoszczyce wnet giną od przewiewnego wiatru.

Mówię tu o takich roślinach, które wszysej znamy. Gdyby jednak krwawnik, lub dziurawiec w jakiej miejscowości inaczej się nazywały, toć przecie kierownik albo kierowniczka szkoły wskażą chętnie te rośliny dzieciom.

Ostrożnie z ogniem! Pod tym tytułem wyszła niedawno z druku bardzo pożyteczna książeczka. Napisał ją Antoni Szczerbowski, sekretarz Związku straży pożarnych. W pierwszym rozdziale znajdują się wskazówki, jak uniknąć pożaru. Oto główne z nich: 1. Nie pozostawiać dzieciom, wychodząc z domu, zapalek do zabawy. 2. Nie młócić, nie rznąć sieczki, nie międlić i nie czesać lnu wieczorami inaczej, jak przy latarni dobrze oszklonej. 3. Nie chodzić ze świecą lub łuczycwem na strych, do szop i stodół. 4. Nie wysypywać gorącego popiołu na śmietniska, skąd wiatr iskry roznosi. 5. Nie trzeba lampek tak stawiać, aby nafta mogła się rozlać. Najlepiej zawieszać na ścianie lub u powały. Nafty zapalanej wodą gasić nie można, lecz sypie się na nią popiół, piasek, ziemię.

Drugi rozdział zawiera wskazówki, jak radzić, gdy kłęska pożaru spadnie na wioskę. Powtórzę parę najważniejszych.

„Pożary gasimy nietylko wodą, ale także przez odcięcie przystępu powietrza do palącego się przedmiotu, a więc przez przyduszenie, zasypianie piaskiem, ziemią, gliną i t. p.“

1. Jeżeli na człowieku, naprzykład, zapali się odzież, powinien rzucić się wnet na ziemię i dusić go własnem ciałem, albo okryć się czem szczelnie. Ale broń Boże nie chodzić, nie biegać.

2. Bydło rogate najłatwiej uprowadzić z ognia, zarzucając mu na głowę i oczy jaką derkę, szmatę wilgotną, lub odzież.

3. Koń wyjdzie chętnie, jeżeli się na niego uprząż zarzuci.

4. Owce pójdą za pasterzem, jeżeli uprzednie do nich przemawiać będzie.

5. Kury najlepiej w worki powsadzać.

6. Jeżeli sadzy zapalą się w kominie murowanym, to nie gasić wodą, ale zamknąć wszystkie otwory i niech się sadzy wypalą w środku. Trzeba przytem, aby ktoś był na dachu i gasił iskry.

W kominie drewnianym, lub z chrustu gasi się pożar, oblewając ściany komina od góry wodą, a najlepiej gnojówką.

7. Ogień lotny, co powstaje z iskier, lecających z palącego się domu, gasić najlepiej tłumnicami.

"Tłumnicą" nazywamy zwykłą miotłę brzożową, obwinietą w kawałek płótna i przymocowaną do drążka na 3 do 4 metrów długiego. Taką tłumnicę należy zmaczać w wodzie i tłumić nią, czyli dusić wszystkie iskry, które na dach spadną.

Tłumnicą nawet wyrostek lub kobieta potrafią uratować budynek od pożaru.

Mieścież wszyscy u siebie tłumnice, ale najbardziej: zakładajcie po wsiach strażę pożarne!



Odpowiedzi od Redakcji.

P. Stanisław T. Kto sam taki, ten na innych kładzie znaki — powiada przysłowie. Owoż i panu może ludzcie wydają się tak dobrymi dla tego, że dobrmi patrzy na nich oczyma. — Żal mi ogromnie, ale nadesłane wiersze, pomimo zalet, nie nadają się do gazetki. Młody poeta poświęca nieraz dla formy jasność wyrażenia. A w popularnem wydawnictwie o jasność starać się należy w pierwszym rzędzie. Za życzliwość, za poparcie moralne dzięki stokrotnie!

P. Stanisław St. w D. Nie wzrośnie ziarno, choćby najszczerzą rzucone ręką, jeżeli na zimny głaz upadnie. Lecz gleba serce w naszym kraju taka plenna, taka gorąca, że kłosa bujnie i wdzięczne kwiaty wyrastają na niej

same, nie posiane, niby ziarno padaliczne. To mi wyjaśnia właśnie treść pańskiego listu, który czytałam z głębokiem wzruszeniem i za który proszę przyjąć wyrazy wdzięczności bardzo szczerzej i żywej bardzo.

P. Józef Antonik w Straszycy. Najlepsza szkoła rzeźbiarska znajduje się w Zakopanem, za Krakowem. Rok szkolnej nauki rozpoczyna się w onej szkole 1. września. O warunkach przyjęcia i wszystkich szczegółach dowiem się w sierpniu, gdy wrócę do Lwowa i wtedy napiszę. A teraz proszę, aby Pan miał u siebie w domu jaką robotę swoją, którą uważa za najlepszą. Może ona być w sierpniu bardzo potrzebna i bardzo pomocna.

P. Jan Handzlik w Wilamowicach. Z całego serca dziękuję Panu za opowiadanie o sierocie Rózi. Daję je w „Zorzy“, jak widzicie, w całości i bez najmniejszej zmiany. Tym, którzy prenumerują „Zorzę“ razem z „Przyjacielem Ludu“, wychodzącym we Lwowie, odpadają koszta marek pocztowych, to znaczy 24 hal., — płacą więc jeno 40 halerzy rocznie. Od Was przeto należy się za „Zorzę“ do końca bieżącego roku już tylko 6 halerzy, czyli 3 centy.

P. Józef Markulis w Zaborczu. O panie Gospodarzu, skądże to wzięliście tyle czasu na pisanie w lecie, kiedy każda chwila droga — kiedy ziemia woła pracowników ku sobie szlestem zielonych traw, poszumem kłosów ciężkich?... Ale się Wam udało! Dziękuję, dziękuję! Umieszczę Waszą powiastkę, jak jeno skończy się ta, co teraz rozpoczęta, to znaczy we wrześniu. Tak się raduję z pisania czytelników do gazetki, że to aż hej!

P. Karol Kaszper w Bażanowicach. Boże zapłać za dobre słowo. Życzenia, ze szczerego serca idące, spełniają się zawsze, więc i Wasze, Panie, spełnią się...

P. Jan Papier w Brzostku. Niesłuszny Wasz żal, Panie! Nie moja wina, że „Przodownica“ nie dochodzi. Wszak wiele razy powtarzałam, że gazetki tej nie wydaję i nie o niej nie wiem. Przyjmijcie, proszę szczerze życzenia wszelakiej pomyślności.

P. A. Nowakowski pod Stryjem. Więc gazetki się podobają? — To dobrze! Wierzę najsilniej, że wkrótce nie tylko na suchem, lecz i na wodzie tonąć nie będziemy.

